

## Rozdział 1

Podczas mojej pierwszej podróży do innego wymiaru zamierzałam odebrać komuś życie. Teraz starałam się je ocalić.

Ale nie mogło mi się to udać, jeśli sama się nie uratuję. W tym momencie biegłam krętymi uliczkami niemal średniowiecznego Rzymu i starałam się uniknąć spalenia na stosie.

Witamy w ekscytującym świecie podróży po alternatywnych rzeczywistościach.

– To córka czarowników! – krzyknęła jakaś kobieta. – Ma ze sobą ich czarnoksiężskie narzędzia! – Jej głos odbijał się echem od bruku, podobnie jak szydercze wrzaski otaczającego ją tłumu. Część osób niosło płonące pochodnie, by łatwiej ścigać mnie w ciemnościach nocy.

Moi rodzice byli naukowcami, nie czarownikami. Najwyraźniej w tym wszechświecie nikomu nie robiło to różnicy.

To, co niosłam w kieszeni płaszczu, opończy czy jak to tam nazwiecie, ten bezkształtny czerwony worek, nie miało nic wspólnego z czarnoksiężstwem. To była luneta, bardzo prymitywny rodzaj teleskopu. Piętnastocentymetrowy przedmiot wyglądający jak rekwizyt do steampunkowego cosplayu: obudowa z szylkretu, brązowe okucia, ręcznie szlifowane soczewki. Ale ten przyrząd miał szansę wyciągnąć ten wymiar z wieków ciemnych – o ile wcześniej nie doprowadzi do śmierci całej mojej rodziny.

Zadyszana, skręcałam raz za razem w kolejne ulice, nie zwracając uwagi na to, dokąd biegnę. Ostatecznie i tak nie miałam pojęcia, gdzie właściwie jestem. Kiedy przeskakuję do moich innych wersji – innych Marguerite, żyjących w równoległych wymiarach – nie mam dostępu do ich pamięci. Zachowuję część ich wiedzy i umiejętności, ale tylko tych na głębszym, nie do końca świadomym poziomie. Mogłam tylko pomarzyć o informacji, gdzie właściwie jestem w tej wersji Rzymu.

Wiedziałam na pewno, że muszę uciekać. Znalezienie Zamku Świętego Anioła – i Paula, który powinien tam być – cóż, to musiało poczekać, aż będę bezpieczna.

Oczywiście mogłam w każdej chwili uciec z tego wymiaru dzięki ciężkiemu wisiorowi na szyi. Dla każdego w tym świecie i prawie każdego w naszym wyglądałby on najwyżej jak duży, bardzo misternie zrobiony medalion – o ile w ogóle zostałby zauważony, co wydawało się mało prawdopodobne.

To nie był jakiś tam naszyjnik. To rzecz nienależąca do tej rzeczywistości – Firebird.

Firebird – jedyne w swoim rodzaju urządzenie pozwalające ludzkiej świadomości podróżować pomiędzy wymiarami. Wynalazek mojej matki, doktor Sophii Kovalenki, przy współpracy mojego ojca, doktora Henry’ego Caine’a. Przedmiot mogący błyskawicznie i całkowicie przenieść mój umysł z tego wszechświata i odesłać mnie do własnego ciała, własnego domu, w bezpieczne miejsce. Nawet teraz, kiedy biegłam przez alternatywny Rzym w sięgającej do kostek wełnianej sukni i płaszczu, a moje sztywne buty ślizgały się na mokrych od deszczu kocich łbach, ścisnęłam Firebirda w ręce. Jeśli bym go zgubiła, byłoby po mnie.

Ale nie zamierzałam stąd zniknąć. Nie mogłam opuścić tego wymiaru, dopóki nie zrobię tego, po co tu przybyłam.

Muszę uratować Paula Markova.

Po kilku kolejnych zakrętach w mrocznych zaułkach udało mi się w końcu zgubić ścigający mnie tłum. Chociaż nadal słyszałam w oddali pomruki i okrzyki, miałam teraz chwilę na złapanie oddechu. Gwałtowne uderzenia mojego serca zaczęły zwalniać. Opierałam się o ścianę w kolorze terakoty, a jedynym źródłem światła były latarnie i świece widoczne przez pozbawione szyb okna. A także, oczywiście, gwiazdy. Popatrzyłam w górę, na moment oszołomiona tym, o ile więcej gwiazd można zobaczyć na niebie nieskażonym sztucznym oświetleniem.

Widok wokół mnie mógłby się znaleźć na każdym z setek wczesnych włoskich obrazów, jakie oglądałam. To był świat bez elektryczności, gdzie po zmroku tylko ogień oświetlał ludziom drogę. W oddali turkotał wózek ciągnięty przez osła i załadowany workami czegoś, prawdopodobnie zboża. Mniejsza już o Wi-Fi, tablety czy samoloty – ten świat całe wieki dzieliły nawet od maszyny parowej. Nie oznaczało to jednak, że przeniosłam się w przeszłość. Firebirdy tego nie potrafiły. Po prostu niektóre wymiary rozwijały się szybciej, a inne wolniej. Odwiedziłam już futurystyczny świat, gdzie ludzie rozmawiali za pośrednictwem hologramów i podróżowali pojazdami latającymi. Znalezienie się w świecie, gdzie wciąż kwitł Renesans, było tylko kwestią czasu.

Ten Renesans różnił się jednak nieco od naszego – ubrania przypominały mi bardziej dziesiąty lub jedenasty wiek, a z kolei wynaleziony przez moich rodziców teleskop pojawił się w naszym świecie o wiele później. Z jakiegoś powodu nie było tu tradycyjnego podziału ról na męskie i kobiece, a właściwie żadnego widocznego podziału ról płciowych. Księdzem, który wskazał mnie jako cel tłumowi, była kobieta. Później będę wiwatować na cześć równości.

Mężczyzna, z którym rozmawiałam, powiedział mi, że znajdę Paula Markova z Rosji w Zamku Świętego Anioła. Wyobrażałam sobie Paula skutego w zamkowych lochach, pobitego lub torturowanego, i chciało mi się płakać.

Nie miałam czasu na łzy. Paul mnie potrzebował. Płakać mogłam później.

A kiedy już zajmę się wszystkim innym, policzę się z Wyattem Conleyem.

Gniewne pomruki tłumy ucichły. Gdzie się teraz znalazłam? Otaczały mnie ciemne, kręte uliczki oraz labirynt budynków pełnych ludzi, którym nie mogłam ufać. Powiedzieli, że Zamek Świętego Anioła jest w zachodniej części miasta, ale w którą stronę był zachód? Bez słońca pozwalającego to oszacować, nie miałam pojęcia, dokąd powinnam iść. Mimo to musiałam od czegoś zacząć. Jeszcze jeden głęboki oddech i ruszyłam wąskim zaułkiem, prowadzącym do szerszej i na oko pustej ulicy...

...Zachłysnęłam się z przerażenia, gdy na moim ramieniu zacisnęła się czyjaś ręka.

– Nie tędy – wyszeptała kobieta. Zobaczyłam, że musi być szlachetnie urodzona, a jej twarz praktycznie zasłaniał kaptur płaszcza z niebieskiego aksamitu. – Mogą się zgromadzić przy Panteonie.

Nie wiedziałam, co to jest, ale skoro tłum się tam kierował, postanowiłam pójść w inną stronę.

– Dziękuję.

(Powyższa konwersacja nie została przytoczona dosłownie. Zarówno moja nowa znajoma, jak i ja sama mówiłyśmy w języku będącym albo późną formą łaciny, albo wczesną odmianą włoskiego. Nie wiem, jak należałoby go nazwać, ale dzięki głęboko zakorzenionej wiedzy Marguerite z tego świata potrafiłam się nim posługiwać).

– Twoi rodzice prowadzą nas do oświecenia – oznajmiła cicho arystokratka. – Inni boją się tego, czego nie rozumieją.

Podeszła bliżej, na tyle, by jej twarz stała się widoczna w słabym świetle – gęste złociste włosy, mocno zarysowana szczęka – a ja mogłam tylko nie otworzyć ust ze zdziwienia na jej widok.

Spotkałyśmy się już wcześniej.

Nazywała się Romola. Jeśli nawet słyszałam kiedyś jej nazwisko, nie pamiętałam go. Poznałam ją w pierwszym alternatywnym wszechświecie, jaki odwiedziłam: futurystycznym Londynie, w którym była córką księżnej. Rozpuszczona, bogata, napruta narkotykami i pijana szampanem Romola ciągnęła mnie od jednego nocnego klubu do drugiego, a ja piłam tyle samo, co ona. Byłam zmęczona, przestraszona i zrozpaczona, ponieważ minęły zaledwie dwa dni od chwili, gdy policja powiedziała mojej rodzinie, że mój ojciec nie żyje. Okazało się, że tata jest cały i zdrowy – jeśli zmieścimy w tej definicji „porwany do alternatywnego wymiaru”. Wtedy jednak tego nie wiedziałam, dlatego te odrealnione, chore i ponure godziny w towarzystwie Romoli wydawały się w moich wspomnieniach dłuższe niż w rzeczywistości. Miałam wrażenie, że znałam ją całe życie, a nie tylko jeden dziwaczny dzień.

Nie powinnam być zaskoczona tym, że ją znowu widzę. Przekonaliśmy się, że ścieżki tych samych ludzi krzyżują się w wielu wymiarach – że niezależnie od tego, jak różne mogą być światy, los przyciąga nas do siebie nawzajem.

– Dobrze się czujesz? – Romola położyła rękę na moim czole, tak jak robiła to mama, kiedy byłam mała. – Wyglądasz na oszołomioną. Trudno ci się dziwić po tym, przez co przeszłaś.

– Nic mi nie jest, naprawdę. – Postarałam się wziąć w garść, zanim zacznę dalej uciekać. – Muszę się dostać do Zamku Świętego Anioła. W którą stronę mam iść?

Romola udzieliła mi wskazówek. Nie znałam większości wymienionych przez nią punktów orientacyjnych (Via Flaminia?), ale wskazała właściwy kierunek. Podziękowałam jej, pomachałam i ruszyłam przed siebie biegiem.

W domu mogłam przebiec chyba kilka kilometrów bez zadyszki. Ta Marguerite wyraźnie nie ćwiczyła aż tyle. Klucie w boku sprawiało, że żołądek mi się zaciskał, oddychałam zbyt szybko. Pomimo chłodnego powietrza początku kwietnia moja skóra była mokra od potu. Miałam wrażenie, że to grube wełniane ubranie jest dodatkowo obciążone, jeśli zaś idzie o buty... Powiedzmy, że technologie szewskie w moim świecie były zdecydowanie lepsze. Miałam już pęcherze na piętach i palcach.

Musiałam jednak dotrzeć do Paula tak szybko, jak się dało. Mógł się znajdować w okropnym niebezpieczeństwie...

*Może nic mu nie grozi. Może jest jednym ze strażników na zamku. Mógłby być nawet księciem! Pewnie przeszkodzi mu podczas jakiejś uczty.*

Od jak dawna tu był? Staraliśmy się nie panikować, kiedy nie powrócił do naszego wymiaru po dwudziestu czterech godzinach. Po czterdziestu ośmiu wiedzieliśmy, że coś się stało. Naprawdę zaczęliśmy się bać, kiedy poszukaliśmy go w Uniwersum Triadu i okazało się, że przeskoczył stamtąd, ale nie wrócił do domu. Mama i Theo przeszli samych siebie, żeby znaleźć sposób na wyśledzenie kolejnego skoku Paula – właśnie do tego wymiaru.

Paul nie miał powodów, żeby tu przeskakiwać. Gdyby znalazł to, czego szukał – lekarstwo dla Theo – wróciłby prosto do domu. Dlatego wiedzieliśmy, że został porwany. Od tej chwili nie byłam w stanie zmrużyć oka.

*Muszę go odzyskać. Resztą zajmiemy się później – tym, jak uratować Theo i jak pokonać Triad. To wszystko może poczekać, aż sprowadzę Paula do domu.*

Rozpoznałam Zamek Świętego Anioła, gdy tylko go zobaczyłam: gigantyczną kamienną budowlę na szczycie wzgórza, oświetloną przez płonące pochodnie. W blasku ognia widać było matowe lśnienie czarnych dział wystających przez otwory w murze. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że zamkowi strażnicy mają na sobie mundury jednocześnie komiczne i onieśmiałające – pasiaste pludry, jaskrawożółte kaftany z bufiastymi rękawami, metalowe napierśniki i hełmy, a także miecze, które wyglądały, jakby mogły w mgnieniu oka przesyć człowieka. Chociaż żołnierze unieśli broń, kiedy się zbliżyłam, widać było, że raczej nie uważają zadyszanej nastolatki za zagrożenie.

A jeśli Paul był tutaj więźniem? Nie miałam pojęcia, jak zareagują strażnicy, ale istniał tylko jeden sposób, by się przekonać. Odetchnęłam kilka razy głęboko i powiedziałam tak stanowczo, jak tylko potrafiłam:

– Przybyłam, by się spotkać z Paulem Markovem z Rosji.

Strażnicy popatrzyli na siebie i nic nie powiedzieli. Szlag. Czy powinnam nazywać go Paolem, włoską wersją jego imienia? A może Pawłem, wersją rosyjską? A może jest więźniem... albo w ogóle go tu nie ma...

– Chodź ze mną – powiedział jeden ze strażników. – Zaczekasz w tej komnacie, co zawsze.

*Tej komnacie, co zawsze?* Musiałam stłumić uśmiech, kiedy weszłam za nim do małej komnaty z kamiennymi ścianami. Oczywiście że Paul i ja znamy się także w tym świecie.

Zawsze się znajdujemy.

W moim świecie Paul był jednym z asystentów moich rodziców i robił doktorat na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Przez pierwsze półtora roku, odkąd go poznałam, uważałam go głównie za dziwaka – milczącego, wiecznie skrępowanego, za dużego jak na pomieszczenia, w których się znajdował. Kiedy się odzywał, nie owijał niczego w bawełnę. Zwykle w ogóle nic nie mówił. Ale z czasem zaczęłam rozumieć, że ta bezceremonialność nie bierze się z chamstwa czy nieżyczliwości – że jest to nieporadna szczerłość, coś, czego czasem trudno słuchać, ale zawsze jest prawdziwe. Skrępowanie brało się z nieśmiałości i przekonania Paula, że na świecie nie ma miejsca, do którego by pasował, ponieważ nikt wcześniej go nie akceptował. Nie miał do czynienia z rodziną, która byłaby ze sobą blisko związana, nie miał prawdziwego przyjaciela, dopóki nie poznał drugiego asystenta moich rodziców, Theo.

Nigdy też nie był zakochany, dopóki nie poznał mnie. Po prostu nie wiedział, jak ma to wyrazić.

Odwiedziłam już tuziny wymiarów. W większości z nich Paul i ja się znaliśmy, w wielu byliśmy już razem. Los i matematyka zbliżały nas do siebie raz za razem. Doktorat Paula zawierał serię równań dowodzących, że przeznaczenie istnieje... ale ja nie potrzebowałam matematyki, by się o tym przekonać. Widziałam to na własne oczy wiele razy, poczynając od Rosji, w której nie obalono caratu.

Przez chwilę myślałam o poruczniku Markowie, Paulu, którego tam poznałam, i moje gardło się zacisnęło. Ale właśnie w tym momencie w kamiennym łuku drzwi pojawiła się sylwetka w czarnym płaszczu.

Paul podszedł bliżej i popatrzył na mnie z takim smutkiem, że zabolowało mnie serce, chociaż jeszcze nie wiedziałam, dlaczego.

– Wiesz, że nie powinnaś tu przychodzić – powiedział cicho.

– Musiałam.

Blefowanie w alternatywnych wymiarach bywało czasem zawodne. W razie wątpliwości najlepiej było milczeć tak długo, jak to możliwe, i pozwolić, by miejscowi mówili.

W tym momencie rozmawiałam z Paułem z tego świata. Kilka detali podpowiedziało mi różnice – subtelne rzeczy, łatwe do przeoczenia dla każdego innego, takie jak sposób, w jaki chodził, albo swoboda, z jaką czuł się w tej średniowiecznej komnacie. Świadomość mojego Paula – jego dusza – musiała być w tym ciele, ale na wpół uśpiona i niezdolna do działania, niezdolna do myślenia, z trudem rejestrująca, co się dzieje. Na pewien czas zapomniał, kim jest. To właśnie dzieje się z większością ludzi, którzy podróżują po innych wymiarach – zostają wchłonięci przez swoje inne wersje, niezdolni do ucieczki ani nawet myślenia o tym, że powinni uciekać.

To jak bajka na opak. Książę śpi w szklanej trumnie, a ja go muszę obudzić.

Gdyby tylko wystarczył pocałunek.

Paul podszedł do mnie, a migocząca latarnia oświetliła jego twarz złotym blaskiem. Był wysoki, niemal onieśmielający – prawie metr dziewięćdziesiąt, i szeroki w ramionach. Ta wersja nie miała tak imponujących mięśni, albo może nie umiałam tego dostrzec pod czarną sutanną.

Zaraz. Czy to sutanna duchownego?

– Modliłem się i modliłem – wyszeptał Paul. Jego szare oczy spojrzały prosto na mnie, a ja wolałabym nie widzieć w nich takiego zagubienia i samotności. – Wiem, że nie mogę złamać przysięgi danej Bogu. A jednak, gdyby On nie chciał, bym się ożenił, jak każdy mężczyzna – bym czuł pożądanie i miłość – dlaczego sprowadziłby mnie do ciebie?

Chociaż nie wiedziałam nic więcej, to wystarczyło, żeby moje serce zrobiło się całkiem miękkie. Marguerite z tego świata musiała go kochać tak samo, jak on ją, bo inaczej ta rozmowa nigdy by nie miała miejsca. Dlatego mogłam powiedzieć:

– Złączyły nas moce o wiele od nas potężniejsze. Potężniejsze nawet od naszego świata.

To nie była tylko romantyczna metafora, ale fakt naukowy.

Paul oddychał ciężko, jakby walczył ze sobą. Zastanawiałam się, jak wyglądało jego życie tutaj – z pewnością urodził się w Rosji. W średniowieczu wiele dzieci było praktycznie oddawanych Kościołowi, więc nie miały właściwie innego wyboru, jak zostać księżmi lub zakonnikami. Skoro Paul złożył już śluby kapłańskie, chociaż od jego dwudziestych urodzin minął zaledwie miesiąc, tak właśnie musiało być w jego przypadku. Być może przyjechał do Rzymu, by służyć papieżowi, a potem poznał córkę wynalazców i wszystko się zmieniło.

Miałam nadzieję, że Paul i Marguerite z tego świata będą mieli szansę być razem. W innych okolicznościach kusiłoby mnie, żeby zostać tu dłużej i pomóc im, na ile to możliwe.

Teraz jednak nic nie było ważniejsze niż uratowanie mojego Paula i sprowadzenie go do domu.

– Paul? – zbliżyłam się do niego. Blask ognia wydobył leciuteńkie rudawe refleksy z jego jasnobrązowych włosów. – Podejdz do mnie.

– Nie powinniśmy – powiedział jak człowiek rozpaczliwie pragnący, by mimo to tak się stało.

– Nie o to chodzi. Wszystko będzie dobrze. – Spojrzałam mu w oczy i uśmiechnęłam się tak ciepło, jak tylko potrafiłam. – Zaufaj mi.

Na te słowa Paul wyprostował się, skinął głową i stanął tuż przede mną. Byłoby tak łatwo go objąć, jemu byłoby tak łatwo wziąć mnie w ramiona...

...ale gdy moja dłoń musnęła jego pierś, wyczułam pod ubraniem metal. Sięgnęłam pod kołnierz jego sutanny i wyciągnęłam Firebirda.

Nadal go miał? Zabrałam ze sobą zapasowy, ponieważ byłam przekonana, że Conley ukradł ten należący do Paula. Może się zepsuł. To by wiele wyjaśniało.

Paul patrzył na naszyjnik, który, jak właśnie się przekonałam, miał na szyi. Z jego punktu widzenia wisior musiał się pojawić jakby za sprawą magii. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co zamierzam zrobić, ale mileczał, całkowicie mi ufając. To sprawiło, że trochę trudniej było mi ustawić w Firebirdzie sekwencję wyzwalamą przypomnienie, ponieważ przypomnienia bolały.

Paul krzyknął z bólu i szarpnął się do tyłu. Ale to był ten moment, kiedy miał się w nim obudzić mój Paul, kiedy znowu będziemy razem i wrócimy do domu.

Tyle że przypomnienie nie zadziało.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Ojciec Paul uniósł Firebirda i zmarszczył brwi. – Co to za mechanizm wisi mi na szyi?

Nie wiedział. Naprawdę nie miał pojęcia. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego. Jak przypomnienie mogło po prostu... nie zadziałać?

Przeczesalam palcami kręcone włosy, starając się coś wymyślić.

– To najnowszy wynalazek moich rodziców. Nie powinien być zrobić ci krzywdy, pewnie się popsuł. Pozwól mi rzucić okiem.

Paul oddał mi wisior – nadal mi ufał, ale odnosił się teraz ostrożnie do samego Firebirda. Nie dziwiłam mu się. Gdybym tylko była kolejnym maniakiem naukowym zamiast rodzinną artystką, może potrafiłabym to sama naprawić. W tej sytuacji nie wykluczałam, że będę musiała wrócić do domu bez Paula. Chociaż wiedziałam, że mogę ponownie tu przybyć, może już za kilka minut, nie potrafiłam znieść myśli, że znowu go stracę.

*Jesteś cudem nauki dwudziestego pierwszego wieku!* – pomyślałam, patrząc na Firebirda. – *Jak możesz tak po prostu przestać działać?* Może zrobił to Conley. Ale po co zawracałby sobie głowę psuciem Firebirda, skoro mógł go ukraść i wykorzystać we własnych celach?

Firebird nie przestał działać. Nie był popsuty. Wszystkie kontrolki wyglądały normalnie, chociaż kiedy sprawdziłam je dokładniej, zobaczyłam odczyt, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej.

Do komnaty wszedł mężczyzna, a ja otwierałam szeroko oczy.

– Pozwól, że udzielę wyjaśnień – oznajmił z krzywym uśmiechem. – Tak właśnie działa rozszczerzenie.

Czerwona sutanna przynależała do tego dziwnego średniowiecznego świata, ale twarz mężczyzny była znajoma. Zbyt znajoma.

Los i matematyka nie zbliżają cię tylko do ludzi, których kochasz. Zbliżają cię także do tych, których nienawidzisz.

W tym świecie skierowały mnie do Wyatta Conleya.